

XIII.

U Grysa.

Nie wątpię teraz o tem, że osoba, dla której miss Eleonora poświęca siebie, musi być jej bardzo droga. Tylko wielka miłość lub wysokie poczucie obowiązku mogło ją skłonić do uczynienia ofiary z siebie. I mimowoli przypominał mi się, choć gniewało mnie to, sekretarz, którego dziwne zachowanie nie zwróciło od pierwszej chwili moją uwagę. Nie mogę powiedzieć, aby miss Eleonora lub on sam dał jakie powody do podobnych przypuszczeń, jeżeli jednak zgodzę się, że w sprawie tej odgrywała pewną rolę miłość, to wszystko zaczęło się przedstawiać w odmiennym świetle. Skromny sekretarz Herval był jednostką, nie posiadającą żadnego znaczenia, lecz James Herval, pałający miłością do tak pięknej panny, jak Eleonora — było to już zupełnie co innego. Jeżeli więc przyłączyłem go do listy osób podejrzanych, to miałem w takim razie obecnie pewne podstawy do tego.

Miedzy podejrzeniem jednak a pewnością istnieje cała przepaść. Podejrzewać Hervela a znaleźć dowody jego winy — są to rzeczy wręcz odmiennie. Podobne zadanie przestraszało mnie od samego początku, tem bardziej, iż nie byłem pewny, czy moje podejrzenie nie wynikało z pobudek czysto osobistych i nie zostało wywołane pewnego rodzaju zazdrością. Jeżeli bym nie czuł do niego tej niechęci, nie wydawałby mi się on tak podejrzanym. Przede wszystkim jednak należało myśleć o ocaleniu Eleonory. Aresztowanie jej rzuciłoby cię na jej dobrą sławę i to haniebne piętno nie dałoby się zmyć już nigdy z jej imienia. Postanowiłem wobec tego zobaczyć się z Grysem i poradzić się go.

Na drugi dzień rano udałem się do niego, przygotowawszy się zawnazu do wszelkiego rodzaju niespodzianek. Najwięcej obawiałem się tego, by on nie zrobił stanowczego kroku przedtem, zanim się z nim rozmówię. Uspokoiło mnie po części to, że na dzień ten był naznaczony pogrzeb nieboszczyka. O ile znałem Grysa, nie sądziłem, by mógł on wydać jakie rozporządzenie przed skończeniem tej smutnej ceremonii.

Wkrótce znalazłem się przed mieszkaniem ajenta i zadzwoniłem do drzwi. Otworzył mi jakiś rudawy, blade chłopiec, który na pytanie me, czy jest pan Grys w domu, mruknął coś niewyraźnie pod nosem, co mogło znaczyć tak dobrze, że jest, jak i że nie ma go.

— Nazywam się Rymond i chcę widzieć się z panem Grysem.

Popatrzył na mnie uroczyście, jak gdyby chciał zapamiętać rysy mej twarzy i wskazał głową na schody. Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, poszedłem na górę i zapukałem do nowych drzwi. Gdy wszedłem do pokoju, ujrzałem szerokie plecy Grysa, pochylone nad biurkiem.

— Ach, to pan — odezwał się ku mnie — czemu mogę zawdzięczać ten zaszczyt, że widzę pana u siebie?

Przy słowach tych wstał i zamknął drzwiczki wielkiego pieca?

— Zimno dziś i wilgotno.

— Rzeczywiście — odpowiedziałem i bacznie przyjrzałem mu się, by przekonać się, w jakim jest usposobieniu. — Nie mam jednak czasu na rozmowę o pogodzie. Zabójstwo...

— Istotnie, to jest zagadkowy wypadek — potwierdził, patrząc na piec — lecz może dla pana jest on zupełnie jasny? Czy dowiedział się pan czego nowego?

— Owszem, lecz wątpię, czy to, co ja wiem, odpowie pańskim oczekiwaniom — odparłem, podchodząc ku niemu bliżej. — Od czasu, gdy widziałem pana po raz ostatni, jedno z moich przypuszczeń przeszło w zupełną pewność: pan podejrzewa niewinną osobę.

— Jakież przyjemne odkrycie! Muszę panu podziękować za nie.

Stłumiwszy w sobie gniew, jaki we mnie wzbudził, mówiłem dalej.

— Tak bardzo jestem przekonany o tem, że przyszedłem prosić pana o przerwanie śledztwa

w tym kierunku, a skierowanie go w zupełnie inny.

Nie wydawał się zaintrygowanym temi słowami, gdyż rzekł obojętnie:

— Tak? Dziwnem jest pańskie żądanie!

— Panie Grys — tłumaczyłem mu dalej, nie zważając na jego ironię — miss Eleonora jest tak szlachetną i uczciwą, iż my nie mamy prawa rzucać najmniejszego cienia na jej dobre imię. Jeżeli pan zechce wysłuchać mnie, daję panu słowo, że nie będzie pan tego żałował.

Uśmiechnął się i odrzekł:

— Dobrze, niech pan mówi, słucham pana.

Wyjałem mój notes z różnemi notatkami i położyłem go przed nim.

— Co? notatki? jest to wielka nieostrożność z pańskiej strony: nie można swych uwag i spostrzeżeń powierzać papierom.

Nie zwróciłem na słowa jego żadnej uwagi, lecz zacząłem odrazu:

— Udało mi się poznać bliżej miss Eleonorę i widzieć ją taką, jakiej pan jej nigdy nie zobaczy;



Ach, to pan — odezwał się, zwracając się ku mnie.

dała mi tak jasne dowody swej niewinności, iż nie pozostawiły one we mnie najmniejszych wątpliwości. Bardzo jest możliwe, że ona wie coś o tem zabójstwie; nie mogę temu zaprzeczać, gdyż w każdym razie znaleziono u niej klucz. Lecz czy można podejrzewać ją o taki występki tylko dlatego, iż z poczucia obowiązku nie mówi wszystkiego, co wie? Przecież my i bez jej pomocy możemy wykryć prawdę, chodzi tylko o zdwojenie swej przenikliwości i popracowanie umysłem.

— Tak, lecz my do niczego nie dojdziemy, jeżeli nie pójdziemy po jednym śladzie, na jaki dotychczas natrafiliśmy — odpowiedział mi obojętnie Grys.

— Niczego się pan nigdy nie dowie, jeżeli się pan będzie trzymał tego tylko śladu, na jaki naprowadziły pana sprzeczności w zeznaniach miss Eleonory.

Zmarszczył brwi, lecz nic nie odparł.

— Miss Eleonora znajduje się pod wpływem człowieka, który doskonale zna jej dobre serce, jej wytrwałość, a może i miłość. Postarajmy się znaleźć tego człowieka, a w swych rękach będziemy mieli tego, kogo szukamy.

— Tak pan sądzi! — odezwał się Grys i zamilkł zaraz.

Postanowiłem jednak za wszelką cenę zmusić go do mówienia i dlatego czekałem w milczeniu.

— Czy podejrzewa pan kogo? — zapytał jakby mimochodem.

— Nie wymieniam nazwisk, a proszę tylko nie spieszyć się z działaniem.

— Więc pan prosi o osobisty dla siebie wzgląd?

— Tak, jeżeli pan chce tego.

— Czy pan chce sam prowadzić tę sprawę, czy też nie odrzuci pan pomocy doświadczonego człowieka?

— Chciałbym tylko jednego, aby tym człowiekiem był pan.

Uśmiechnął się ironicznie.

— Pan zdaje się być przekonany o słuszności swej sprawy?

— Jestem najzupełniej pewny siebie co do miss Eleonory.

Widocznem było, iż odpowiedź ta podobała mu się.

— Niech mi pan powie, co pan zamierza na-przód uczynić? — zapytał.

Milczałem, gdyż narazie nie ułożyłem sobie jeszcze planu swego postępowania.

— Zdaje mi się, że pan jako dy-letant wziął na siebie zbyt ciężki obowiązek. Lepiej byłoby, gdyby pan całą sprawę pozostawił mnie.

— Chciałbym jednak...

— O, ja nie wyrzekam się pańskiej pomocy — dodał — nie choruję na zbytek zarozumiałości i chętnie słucham cudzego zdania. Jeżeliby naprzykład zdecydował się pan opowiedzieć mi, co pan widział i słyszał w ostatnich dniach, byłbym panu bardzo wdzięczny.

Ucieszyło mnie to, że wreszcie poddał się i zamierzałem już mówić mu wszystko, spostrzegłem jednak, że ja w istocie nie mam żadnych faktów.

— Dobrze — odparłem niepe-wnie — lecz wszystko, co ja wiem, oparte jest raczej na osobistych wrażeniach niż na faktach i wskutek tego ja mogę wyrazić panu tylko swe zdanie o tym lub innym szczególe. Sądzę że gdybym znał lepiej historię tej rodziny, łatwiej mógłbym uporządkować swe wrażenia.

— W takim razie pan nic nie wie o rodzinnem życiu starego Lavenforta?

— Nie, nie.

— Nie wie pan nawet, czy te panny miały jakich wielbicieli i pretendentów do swej ręki?

— Nie mam o tem najmniejszego pojęcia.

Zamilkł na chwilę, potem rzekł:

— Czy też pan wie, panie Rymond, z jakimi trudnościami związany jest zawód ajenta? Pan może sądzi, że ja mogę się dostać do wszystkich sfer towarzyskich? Zupełnie pan się myli. Absolutnie nie mogę grać roli na przykład wielkoświatowego dandysa — zaraz poznaliby mnie.

Uśmiechnął się bezwiednie mimo swych trosk i niepokojów.

— Pan zaś należy z urodzenia do dobrego towarzystwa i jestem przekonany, że pan umiałby zaprosić damę do walca? — rzekł, żartując.

— Spodziewam się, że umiałbym...

— A ja nie — przerwał mi. Nie czuję się wcale zażenowanym, jeżeli z obowiązku muszę mieć sprawę z jaką wielką damą, w innych jednak warunkach absolutnie nie wiem, jak się zachowywać i co mówić w towarzystwie. Jest to niestety, nasz wspólny niedostatek — wszyscy moi zawodowi koledzy nie są nic wari pod tym względem i dlatego zmuszeni jesteśmy w niektórych warunkach werbować agentów z innych sfer.

Wreszcie zacząłem pojmywać, do czego on zmierz, lecz milczałem.

— Zna pan może niejakiego Klaweringa? — zapytał zniechęca — mieszka w Hofman-House.

— Nie, zdaje mi się, że nie znam.

— Jest to człowiek bardzo dobrze wychowany. Czy miałby pan co przeciw znajomości z nim?

— Do tej pory nie mogę panu nic powiedzieć, dopóki mi pan nie wyjaśni o co chodzi? — odparłem wymijająco.

(Ciąg dalszy nastąpi.)